

Intruz



Napisal:
Jarosław Janowski

Ilustrował:
Marian Stachurski

To było dokuczliwe i krępujące. Kosmonauta nie powinien mieć takich dolegliwości, bo jeśli ma – nie może być kosmonautą. Gdyby badania okresowe coś wykazały, to Piotr Orior, mimo „chlubnej karty” i „olbrzymiego doświadczenia”, zostałby natychmiast odsunięty od lotów. Urządziliby mu piękne pożegnanie i oddelegowali do szkolenia nowych kadr. Straciłby prawo do noszenia złotej odznaki dowódcy frachtowca i do munduru z emblematami Marsjańskich Linii Przewozowych. W wieku trzydziestu trzech lat!

Jeszcze w Instytucie, podczas orbitowania na małych wysokościach, czuł przykry dreszcz, kiedy spoglądał na ogrom rozwieszoną przed nim, wklęsłą czaszę Ziemi. Koledzy ze starszych roczników, nadęci poczuciem własnej ważności, zapewniali, poklepując go protekcyjnie po ramieniu, że „to minie – kwestia rutyny...”

Nie minęło. Ta dolegliwość była jak kalektwo. Gdyby się z nią zdradził, musiałby zrezygnować z marzeń. Był przecież marzycielem – snił o Wielkich Wyprawach. Oczami wyobraźni widział siebie, jak wobec zebranych na kosmodromie, nieprzeliczonych tłumów (też tam tłumom nie wolno wchodzić, ale w przyszłości – kto wie?) zstępuje wolno po trapie. Uśmiechając się lekko, zmęczonym spojrzeniem prześlizguje się po gapiach. Tłumy patrzą na niego z podziwem, zewsząd słysząc szept.

– To bohater, gdyby nie on...

Tak, z pewnością takie marzenia z perspektywy kilkunastu lat wyglądały naiwnie i śmiesznie. Forma ich ewoluowała, dojrzała razem z nim samym. A treść?... Przypomniawszy sobie, jak ciężko przyszło mu pogodzić się z myślą, że tak już pozostanie. Będzie tłukł się frachtowcami między Marssem i Jowiszem, aż wreszcie w glorii chwały zostanie młodym emerytem. Założy rodzinę, dostanie przydział na domek, zacznie hodować kwiatki... Dlaczego go to nie cieszyło? Przecież tego właśnie wszyscy zazdroszczą kosmonautom!

Pewnego wieczoru, gdy Piotr wstąpił przed kolejnym rejsem do mesy pilotów, już w progu uderzył go niezwykle gwar panujący na sali. Rozgorączkowane koledzy wyjaśnili mu, że przed chwilą zakończył się w holowizji program z udziałem kierownika Ośrodka Wielkich Wypraw. Facet strasznie napadł na dziennikarzy. Grzmiał, że taka, jak ostatnio, pogoń za sensacją jest niedopuszczalna, nigdzie jednak – ku zaskoczeniu uważniejszych słuchaczy – nie dementował faktów, na których oparła się prasa. Piotr domyślił się bez trudu, że idzie tu o szum powstały wokół materiałów dostarczonych przez osiemnastą i dwudziestą trzecią Wyprawę. Jako „wyrobnik kosmosu” nie zwracał wiele uwagi na wieści o tajemniczych stawkach pojawiających się nagle na ekranach gwiazdolotów, aby później równie nagle zniknąć. Takich artykułów sporo ukazywało się i dawniej. Klasyczna pozycja sezonu ogórkowego. Dobrze i to, że ostatnio zrezygnowano wreszcie z węża morskiego i Yeti.

Piotr nie przypuszczał, że cała sprawa może mieć jakiś ciąg dalszy. Jednak miała i to dotyczący go bezpośrednio. W tydzień później, kompletnie zaskoczony, obracał w rękę pasek folii z żądaniem natychmiastowego stawienia się w ośrodku szkoleniowym Wielkich Wypraw.

Przypomnieli sobie... Nieraz przeżywał już w wyobraźni ten moment, wbrew rozsądkowi – czekał... Ale tak nagle? Chyba pomyłka?! Przecież w jego grupie wieku rekrutacja jest wstrzymana!

Niedowierzająco oglądał lśniąca taśmę. Nadruk nie pozostawiał jednak wątpliwości: „Piotr Orior”. Więc jednak...

* * *

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Cały gwałt ze ściąganiem ich do Ośrodka miał pewien związek z publikacjami prasowymi. Okazało się, że wcale nie są takie bzdurne, to znaczy – niezupełnie. Trochę prawdy w nich tkwiło. Skompletowane załogi (były dwie alternatywne) zobowiązano do przestrzegania ścisłej tajemnicy i poinformowano, że

dziwne obiekty zaobserwowała również Wyprawa druga, ósma i dziewiąta. Próby uzyskania kontaktu nie dały żadnych wyników. Automaty i zdalnie sterowane agregaty wykonawcze skakały sobie dookoła tej kuli, próbowały coś zmierzyć, zbadać... Niewiele to dało. Obiekt, który przed momentem tkwił jeszcze na ekranach, nagle zniknął.

Takie sformułowanie brzmiało dość dziwnie. Wyplęnięto to już na pierwszym zebraniu informacyjnym.

– Jak to zniknął? Chyba się oddalił! – poirytowanym głosem powiedział ktoś z sali. Nagły gwar zagłuszył słowa mówcy.

• Na głos dzwonka zapanowała cisza.

– Powtarzam: zniknął – prelegent uśmiechnął się kwaśno – zniknął nagle. Nawet nie w jednej sekundzie czy w ułamku sekundy. To było momentalne.

Gwar podniósł się znowu. Mówca wyciągniętą ręką uciszył salę.

– Wiem, co myślicie. To nie miraż.

– Ekranowanie? – wyrwało się Piotrowi.

– Tak, nasi eksperci są zdania, że obiekt zmieniał nagle kuks i równocześnie ekranował sam siebie. Robił to tak doskonale, że w praktyce, stawał się niewidzialny. Żadnej grawitacji, pól magnetycznych, słowem – nic... Co ciekawsze, nasze przyrządy nie wykryły zmian w otoczeniu. Znaczący to, że obiekt – można go chyba nazwać gwiazdolotem – wychwytuje w jakimś punkcie kompletny, lub niemal kompletny obraz przestrzeni i pokazuje go w niezmienionej postaci do najbardziej oddalonego swojego punktu. Kulisty kształt jest najbardziej optymalny do przeprowadzenia tej operacji. Nie jest to tak niezwykle, jak się może w pierwszej chwili wydawać. Przecież i my dysponujemy podobnymi urządzeniami, chociaż ograniczają się one do przetwarzania fal świetlnych. Jako przykład może posłużyć zwykła holowizja. Powróć teraz do celu planowanej wyprawy. Domyśliliście się już chyba, że naszym zadaniem będzie nawiązanie kontaktu. Sprawa jest bardzo delikatna, gdyż ONI najwyraźniej się do tego nie kwapią. Znaczący to, że albo jesteśmy zbyt prymitywni do nawiązania z nimi równoprawnych stosunków, albo też ONI

zbyt zaprzątnięci są własnymi sprawami. Ich obecność w kosmosie może być przecież spowodowana nie tyle ciekawością badaczy, co potrzebami ekonomicznymi lub presją demograficzną. W każdym razie nie wolno dopuścić, aby dotychczasowa obojętność przerosła się we wrogość. Uważamy, że właśnie wy jesteście dostatecznie doświadczeni i zrównoważeni, aby w tych warunkach dać sobie radę z reprezentowaniem ludzi.

– No proszę, jacy tu wszyscy są wspaniali. Szary człowiek, jak na przykład ja, nie będzie miał do kogo gęby otworzyć – burknął tłuszcioch z drugiego rzędu. Ogólny śmiech rozładował napiętą atmosferę zebrania.

– Centralny Ośrodek Obliczeniowy – ciągnął niewzruszenie mówca – na podstawie analizy ruchu obserwowanych obiektów wykazał, że najbardziej prawdopodobnym rejonem spotkania będą okolice alfy Trójkąta. Przypominam: odległość – dwadzieścia paraseków, czas podróży w obie strony – dziewięć lat. Wypełnienie programu roboczego potrwa dwa lata. Cały jedenastoletni okres, biorąc pod uwagę anabiozę, w jakiej spędzicie większą część podróży, będzie równoważny czterem latom biologicznym. Na Ziemi minie do waszego powrotu ponad sto trzydzieści lat. Tyle o liczbach. Dodam tylko, że prawdopodobieństwo uzyskania kontaktu nie jest mimo wszystko zbyt wysokie. Jeśli do niego nie dojdzie, będziecie prowadzili zwykłe prace badawcze. Polecą tylko ochotnicy. Macie dwa dni na ostateczne podjęcie decyzji.

* * *

Piotr odwrócił wzrok od głównego ekranu. Półkoliste pulpity przeładowane były wskaźnikami, światełkami kontrolnymi, zegarami, tarczami. Wszystko to mrugało i pulsowało – statek pracował. Bezustannie napływały informacje z dziesiątków sond, satelitów kartograficznych, stacji zbierających dane geologiczne, geograficzne, badających pola magnetyczne, grawitacyjne i licho wie co jeszcze. On w tym wszystkim nie miał nic do roboty. „Cecylia”, jak nazywano Pokładową

Centralę Cybernetyczną, pracowała zgodnie z programem, magazynowała i segregowała napływające dane.

Spojrzenie Piotra powędrowało w kierunku zegara. Niechby to piekielne orbitowanie wreszcie się skończyło! Odezwała się już stara dolegliwość – nie mógł się przemóc, żeby spojrzeć w ekrany...

Wskazówki wlokły się przeraźliwie wolno. Dyżur Maksa zaczyna się niemal za czterdzieści godzin. Szczęściarzu! Siedzi sobie teraz w bazie przy szklaneczce piwa... Żeby chociaż kabina „Delta” była nieco obszerniejsza. Kiedy jeszcze podczas treningów w Układzie Solarnym narzekał na ciasnotę, szef wyszkolenia wymyślał go od mazgajów.

– Czego ci się zachciewa – porykiwał basem – luksusów w planetolocie? To nie salon, tylko, że tak powiem, twój warsztat pracy!

Dodał coś jeszcze o „rozpieszczonych smarkaczach” i „wylegiwaniu się w betach”... Gdyby sam posiedział ze dwie doby na orbicie, murowane, że charakter by mu złagodniał.

Piotr wyciągnął rękę i nacisnął głowę swojej maskotki – diabelka umocowanego na bocznym pulpicie. Diabeł machnął ogonem i obliznął się wielkim, czerwonym językiem.

W pamięci Piotra odżyły słowa ojca wręczającego mu zabawkę:

– Niech ci nas przypomina... – głos podejrzanie drgnął starszemu. Opanował się i szybko zakończył – będzie z was dobrana para, ty też masz diabła za skórą...

Kochany ojezulek zawsze przepadał za takimi staroświeckimi przenośniami. Co to on jeszcze powiedział? Aha! – „zdobywco przestrzeni”. Gdyby mógł zobaczyć, jak jego pierworodny siedzi na stacjonarnej i skręca się z nudów...

Tyle obiecywali sobie po tej wyprawie. Na „rekonesans” wysłano dwupokładowy gwiazdolit „Minerva” z trzydziestoma starymi wyjadaczami na pokładzie. W skład wyposażenia, oprócz urządzeń bazy, promu pokładowego, gąsienicówek, łazików i całej masy zdalnie sterowanego sprzętu, wchodziły cztery planetoloty badawcze typu „Delta”. W jednym z nich wisiał teraz nad pustyniami

czwartej planety. Był to glob wielkości Marsa, o księżycowym, upstrzonym bezlikiem mniejszych i większych kraterów, krajobrazie. Atmosfera ogromnie rozrzedzona – w sumie nic ciekawego. Druga planeta, gdzie założyli bazę, była zupełnie inna. Łądowa flora i fauna przedstawiały się wprawdzie dość skromnie, ale w morzach aż kotłowało się życie. Biologowie mają używanie – myślał Piotr – teraz chcą pewnie schwytać jedną z bestii, których gigantyczne szkielety znaleziono niedawno na płyciźnie. Wszyscy latali je oglądać, aż zdenerwowany tym komandor wydał zakaz samowolnego opuszczania bazy. Omal nie doszło do buntu. Jak się okazało, wszyscy potrafili ogromnie racjonalnie uzasadnić swoje wycieczki.

Z zamyślenia wyrwał Piotra ostry dźwięk syreny alarmowej. Nim uświadomił sobie jego znaczenie, zadziałał nabyty w żmudnych treningach odruch. Dłoń błyskawicznym ruchem wcisnęła guzik wyzwalający sygnał do bazy.

* * *

Przymknął oczy i, oddychając głęboko, starał się opanować rozdygotane nagle nerwy. To może być fałszywy alarm. Selektywność urządzeń jest przecież ograniczona... może awaria? Po kilku sekundach uniósł powieki i wpił się wzrokiem w ekran. Na samym skraju Centralnej Wyżyny spoczywało to „coś”, czego tak długo i bezskutecznie poszukiwali. Obraz satelitarny ukazywał kulisty, lekko opalizujący kształt, którego kontur odcinał się wyraźnie od brunatnoczerwonego gruntu. Piotr wezwał bazę.

– Uwaga! Tu „Delta 2”. Przechodzę na łączność za pośrednictwem satelity retransmisyjnego.

To był niezły pomysł. W bazie dostaną informacje z takiego sprzętu, jaki sami sobie dobiorą. Nie będą mieli później do niego pretensji.

Najgorsze jest to, że teraz o wszystkim musi sam decydować. Opóźnienie w łączności wynosi niemal siedem minut, co, zgodnie z planem, pozostawia mu wolną rękę w sprawach wymagających szybkiej decyzji.

Kiedy ponownie spojrzął na ekran, ujrzał znacznie zmieniony obraz. Wokół obcego statku uwijało się z zawrotną szybkością kilkanaście czarnych punkcików. Ogarnął go niepokój. Te punkciki to chyba automaty, nie niezwykłego – ale co znaczyła ciemna wstęga koncentrycznie otaczająca gwiazdolit?

Po chwili wyzbył się wątpliwości. Jakies roboty ziemne; ciemna smuga to po prostu głęboki wykop. Chcą zakładać tu swoją bazę? To by znaczyło, że i oni pragną nawiązania kontaktu z ludźmi! Przecież z pewnością dostrzegli „Deltę” i sprzęt orbitalny. Z podziwem obserwował pracowicie krzątające się punkciki. To dopiero są automaty! Przecież tu się wszystko zmienia w oczach. Fantastyczne tempo pracy! Teraz każdy z punkcików ciągnął za sobą w stronę rowu jakąś serbrzystą niteczkę. Oglądany obraz skojarzył się Piotrowi z kołem rowerowym. Piasta, szprychy, opona...

Głośniki umieszczone pod sufitem zakrzeczały nagle.

– Tu „Minerva”! – poznał zniekształcony zakłóceniami głos Maksa. – Będziemy u ciebie za jakieś dziewięć godzin. Chyba nie zdążymy. Komandor twierdzi, że oni tylko pobierają paliwo. Musisz na razie sam spróbować dogadać się z nimi. Powodzenia! Trzymaj się stary!

Poczuł nagłą złość. Mogliby dać bardziej szczegółowe instrukcje niż to – „trzymaj się”. Bardzo wygodne! Zmuszają go, z daleka, do łamania sobie głowy za nich wszystkich. Jeśli mu się powiedzie, będzie to sukces całej wyprawy, jeśli nie – on jeden zostanie czarną owcą. Oni są czyści, nie mają wpływu na wydarzenia!

Ochłonął i zrobiło mu się trochę głupio. To zdenerwowanie... przecież nie ma racji... No i myśleć tylko o sobie w momencie, bądź co bądź historycznym – to jakoś...

Obcy statek widać było teraz mniej wyraźnie. Częściowo przesłoniły go chmury. Zaraz! Stop! Skąd tutaj chmury?!

Zaczął dokładnie analizować obraz. Z wykopu, gęstniejąc z każdą chwilą, unosiły się jakieś opary, lub może kłęby dymu. Gwiazdolit będzie wkrótce całkowicie za nimi

ukryty. Przez głowę Piotra przelatywały gorączkowe myśli. Usiłuje zamaskować miejsce swojego postoju? Bzdura! Na planecie o tak rozrzedzonej atmosferze chmury muszą zwrócić uwagę każdego obserwatora! Słuszne było chyba przypuszczenie komandora. To musi mieć związek z pobieraniem paliwa. Zsyntetyzują coś, uzupełnią zapasy i odlecą. Sądząc po tempie, w jakim się do tego zabrali, postój nie potrwa długo. Z tego wynika... Działać trzeba natychmiast – dopóki są unieruchomieni!

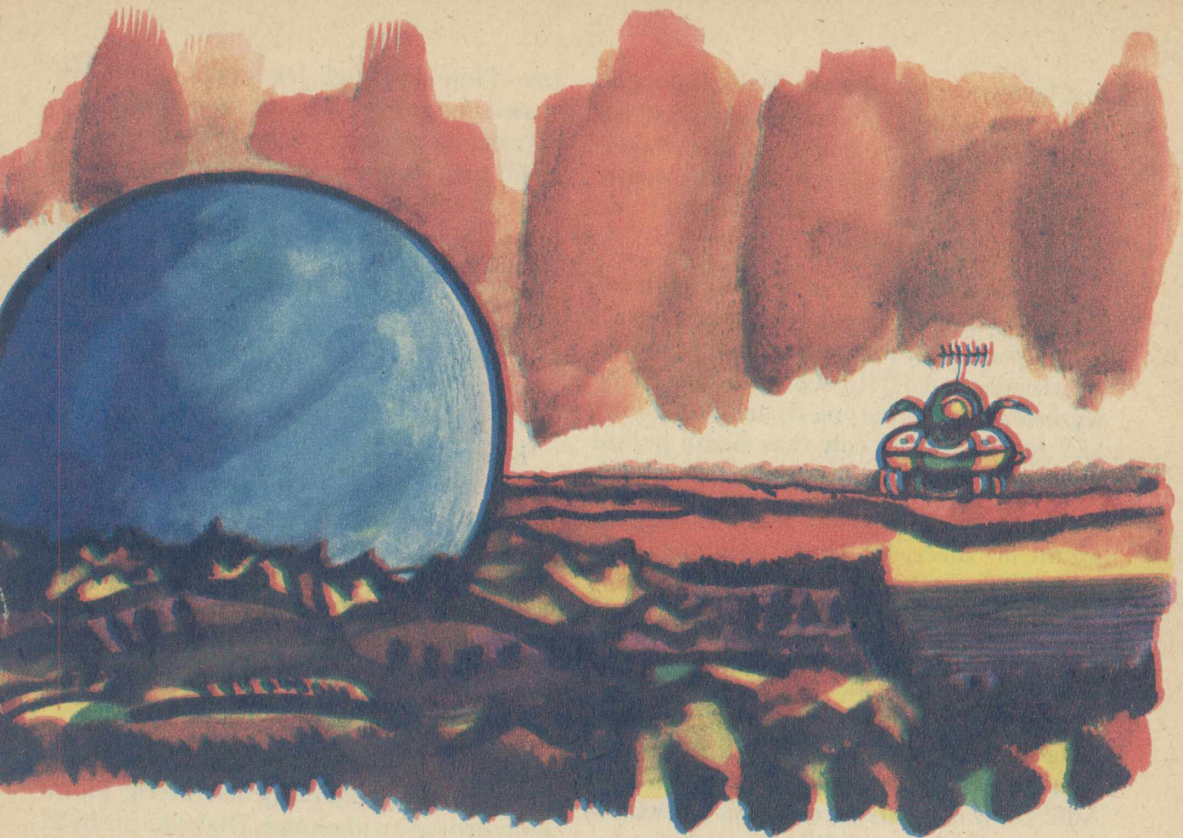
* * *

„Delta” wylądowała w małej kotlinie, niespełna pięćdziesiąt kilometrów od celu. Ruchy stabilizatorów ustały, rakieta solidnie zakotwiczyła się w skalistym gruncie, a Piotr ciągle siedział nieruchomo w kokonie pasów bezpieczeństwa. Jeszcze niedawno marzył o opuszczeniu planetolotu. Miał wrażenie, że od tamtych chwil minęły całe wieki.

To, co miał teraz zrobić, było przestępstwem. Przepisy mówiły o tym wyraźnie. Nie powiadomił bazy o swoich zamiarach, nie powiedział nawet, że ma zamiar lądować. Komandor z pewnością zrozumiałby, o co mu chodzi, ale zakaz by wydał. Jego też krępowały przepisy. Ryzyko podjęte przez Piotra mogło się okazać zbyt wielkie. Szansa jednak istniała. Z tego, co wiedział, nikt jeszcze nie próbował bezpośredniego nawiązania kontaktu. Zawsze posługiwano się zdalnie sterowanym sprzętem. Może to właśnie budziło nieufność...

Zlecił „Cecylii” kontynuowanie programu i bieżące przekazywanie do bazy zebranych informacji. Gdy wygramolił się wreszcie z rakiety, ujrzał, jak po pochylni dolnego zasobnika zjeżdża uniwersalny łożak, popularnie zwany „pełzakiem”.

Ulokował się w kabinie pojazdu i, po sforsowaniu okalających dolinę rumowisk skalnych, ruszył w stronę skłębionych na horyzoncie obłoków. Zajęty stwarzaniem coraz to bardziej zuchwałych hipotez, niewiele poświęcał uwagi upiornemu, pustynnemu, krajobrazowi. Przebytą drogę znałyby



wzniesione płozami i wiszące nieruchomo w rozrzedzonym powietrzu tumany czerwonego pyłu. Korpus pojazdu został wkrótce pokryty warstwą naelektryzowanej mączki i tylko obiektywy wizjerów, dzięki powlekającej je dielektrycznej substancji, pozostały czyste. Ściana chmur była coraz bliżej. Jej korona, śnieżnobiała w promieniach wschodzącej gwiazdy, w miejscach nie oświetlonych nabierała odcieni niebieskich aż do głębokiego granatu. Fantastyczne kształty obłoków i gigantyczne rozmiary, przypominającego wybuch termojądrowy, zjawiska, sprawiły, że Piotra ponownie opadły wątpliwości. Zbyt podobne to było do ataku Donkiszota na wiatraki. Ale cofnąć się?... Teraz?!...

Ostrożnie posuwał pojazd do przodu. Brzeg skarpy, ograniczającej wykop, był bliżej, niż przypuszczał. Migotliwie drgające, rozgrzane powietrze utrudniało prawidłową ocenę odległości. Spróbował spokojnie zastanowić się nad sytuacją. Chmury tworzą zwartą formację, nie rozprzestrzeniającą się

na okolicę. Temperatura ich musi być zatem dość wysoka. Wiatry, kierując się w stronę źródła ciepła, powinny spychać opary na kilka, może kilkanaście metrów od krawędzi skarpy.

Zastopował pojazd. Dalsze zbliżanie się do wykopu było już niebezpieczne. Podkopany grunt mógł nie utrzymać ciężaru pelzaka.

Dłonie Piotra, niczym ręce wytrawnego pianisty, przebiegły po klawiaturze zawiadującej ruchami manipulatorów. Dobięgl go cichy trzask i z kopuły pojazdu wyłoniła się głowica peryskopu. Wolno, jakby z wahaniem, sunęła na swym teleskopowym ramieniu nad krawędź wykopu. Nachylił się do okularu wizjera i wyostrzył obraz. Głęboko w dole, tłusto połyskiwała czarna płaszczyzna półpłynnej masy. Co pewien czas, na jej powierzchni pękały olbrzymie bąble. Wyglądało to na coś pośredniego pomiędzy lawą wulkaniczną a wrzącą smołą. O pobraniu próbek tego świństwa nie mogło być mowy – za mały zasięg ramion manipulatorów.

Z łącznością również nie działo się dobrze. Aparatura radiowa nadawała na wszystkich zakresach to samo – szumy, trzaski... Najwidoczniej pojazd musiał znaleźć się wewnątrz strefy, ekranującej w jakimś stopniu fale elektromagnetyczne.

Z ponurym rozbawieniem, Piotr uświadomił sobie komizm sytuacji. Boki zrywać! Ułożył wspaniały plan, podjechał, popatrzył i... właśnie, co dalej?! Jak przekonać ICH, by wyzbyli się tej swojej niezrozumiałej rezerwy? Przecież przez cały czas śledzą pojazd wiązkami kierunkowymi swoich lokatorów!

Pozostał jeden sposób. Zakazany, ale to już nie ma znaczenia. Do tej pory znalazł się w konflikcie z tyłoma paragrafami, że złamanie jednego wężej...

Pętzak to konstrukcja uniwersalna, przystosowana do skokowego pokonywania przeszkód terenowych. Przy tej grawitacji, długość skoku wyniesie około stu dwudziestu metrów. Zasięg wystarczający, jeśli szerokość rowu nie wzrosła od czasu pierwszych obserwacji. Tego właśnie nie był pewien. Przekłete chmury za wcześniej przestoniły obraz.

Starając się odpędzić ogarniające go poczucie własnej bezradności, naciskał z pasją pedał akceleratora. Pojazd pędził wzdłuż ciągle jednakowej, białoniebieskiej ściany. Nie mógł skakać na ślepo. Śledząca go wiązka lokatora zakłócała pracę radaru. Żeby choć na moment się z niej wyrwać! Pędził przed siebie, zataczając pętle, hamował tak raptownie, że krew napływająca do twarzy przyprowadzała go o chwilową ślepotę. Wszystko na próżno. Zrezygnowany, zatrzymał pojazd opodal krawędzi. Czas uciekał, a on, bałwan jeden, nie konkretnego jeszcze nie osiągnął! Więc jak? Zaryzykować czy zawrócić?

Skierował peryskop na kotłującą się w dole masę. Zastanawiające. Poprzednim razem wyglądało to chyba inaczej. Nie, nie mogło być mowy o pomyłce! Cały proces ustawał – wszystko tężało, zastygało... To znaczy... ostatnia chwila!

Był zdecydowany. Pętzak zatoczył półkole i z rykiem silników ciężko wzbil się w powie-

trze. Piotr dostrzegł, jak ściana chmur błyskawicznie rośnie, pędzi na spotkanie... Szybko zalepiła mleczna zasłona. Wydawało się, że lot trwa nieprawdopodobnie długo. Nagle opar zrzędl – naprzeciw wyrósł piętrzący się, połyskliwy ogrom. Gwiazdolit! Przeciwniegią skarpa była także widoczna. Poczul jak serce podchodzi mu do gardła. Nie dosięgnie... Pojazd z młasniciem zetknął się z powierzchnią bryi. Skamieniały ze zdumienia i grozy, patrzył, jak wykonane z solidnych stopów płozy wyginają się, miękną, roztopiają...

Katapultowanie!!! Padł kilkanaście metrów dalej. Zapadał się... Jakby gdzieś z daleka usłyszał własny, przeraźliwy wrzask. Wił się, miotał, uciekał przed ogromnym, niewiarygodnym bólem... Ostatnie, co ujrzał, to wzniesione ku górze, w strzępach skafandra, kikuty swoich rąk...

* * *

Ocknął się i sennie rozejrzał po kabinie „Delty”. Z przyzwyczajenia, wzrok Piotra powędrował ku maskotce. Diabełka nie było. Nagle zdrętwiał – przypomniał sobie! Wszystko!

Gorączkowo przypadł do ekranów. To nie był koszmarny sen. Na skraju Centralnej Wyżyny widniał olbrzymi, czarny krąg. Gwiazdolit znikł – również i tym razem do kontaktu nie dojdzie. A on?... Jak ocalał?... Jak znalazł się w kabinie „Delty”?

Wzrok Piotra padł na dłonie spoczywające na regulatorach. Porażony ich widokiem czuł jak narastający strach dławi mu gardło. Te ręce... te pokryte czarną sierścią szponiaste łapy... Wolno obrócił się do umieszczonego nad fotelem lustra.

To nie może być prawda! To jakiś koszmarny!

Skierował spojrzenie na puste miejsce po maskotce. Posłużyła im... Jedyne wizerunek...

Patrząc na odbicie swojej twarzy, na capią brodkę, na te rogi... zrozumiał...

Zaniósł się diabelskim chichotem.

– ZREKONSTRUOWALI MNIE!